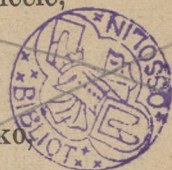




Wydawczyni i kierowniczka redakcyi: Helena Hempel w Cieszynie.
Wychodzi 2 razy na miesiąc. — Kosztuje rocznie 1 złr. półrocz. 50 ct

Zyczenia na Nowy Rok matce włościance.

Z tym Nowym rokiem, o siostró miła,
Tego ci z serca będę życzyła:
Naprzód, niech łaska zastępów Pana,
Na każdym kroku cię nie omija.
Niech całe życie, Niepokalana
Ma cię w opiece święta Marya.
Niech życie twoje jak pszczoła w lecie,
Pracy się własnej poi słodyczą,
A gdy ci smutek serce przygniecie,
Z którym się chwile radości liczą,
To nie narzekaj, nie smuć się matko,
Boć nie ostatnie może to latko;
Bóg dobry wszystko tobie przemieni,
Nagrodzi ziarnko garncem w jesieni.



99858

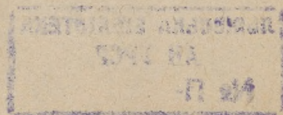
ad 99. 858.

ЛВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ П-

Lecz abyś szczęścia zażyła w życiu,
 Wychowaj w dobrem małe swe dziatki,
 Strzeż je, pielęgnuj, jak przy rozwiciu
 Skrzątny ogrodnik hoduje kwiatki.
 Gdy ci je na świat Bóg zesłać raczy,
 Strzeż je, starannie od wszego złego,
 Bo ci w przyszłości Bóg nie przebaczy,
 Jeśli sumiennie nie spełnisz tego.
 Niech usta twoje kłamstwa nie znają,
 Ręka nie szuka cudzej własności,
 Uszy słów dobrych tylko słuchają,
 Głuche na zgubne pokus dążności.
 Niech tylko prawość ci towarzyszy,
 Choćby cię sroga nędza smagała;
 Twoją modlitwę Bóg twój usłyszcy,
 Byleś mu tylko szczerze ufała.

Lecz łatwo małe przejmuję dziecko,
 Z innych przykładu, grzeszne nałogi,
 A ty nie chciałaś matko, przecie,
 Ażeby zeszło z uczciwej drogi.
 A więc, gdy dobry Bóg zeszele tobie,
 Twego aniołka, twoją pieszczotę,
 To, droga siostró, pamiętaj sobie,
 Byś weń najpierwej wszczepiała cnotę
 Miłości ludzi, miłości Boga,
 Bo te dwie cnoty pierwsze dla życia,
 Niemi do nieba otwarta droga,
 Wpajaj je w dziecko już od powicia.

Pracą zatrudniaj wedle sił jego,
 Nie sądź, że dziecko do niej za małe,
 Bo jak próżniaka wychowasz z niego,
 To mu już życie zmarnujesz całe
 Czyni zawsze dobrze, bo ono widzi,
 Twym się przykładem ucząc najwięcej,
 Brudnym występkiem, niechaj się brzydzi.
 Strzeż pilnie duszy jego dziecięcej:
 Niech czyny jego prawość cechuje,
 Przez dochowanie danego słowa,
 Niech cnotą sobie drogę toruje,
 Bo dobre imię, szczęścia połowa.



Matko włościanko, w tobie spoczywa
 Szczęścia ojczyzny naszej zadatek;
 Ty narodowe żywisz ogniwa
 I będziesz wielką wśród polskich matek.
 Gdyś sama prawa, syn prawym będzie,
 Córką twa prawe syny wychowa,
 I zajmiesz miejsce w najpierwszym rzędzie,
 Jako Rzepicha żona Piastowa.
 Ona nam Mieszka, króla chowała,
 Jej plemię berło wieki dzierżyło,
 Za Piastów Polska szczęścia doznała,
 Gdy Piasty zgaśli, szczęścia ubyło.

Jak ty, włościanką Rzepicha była,
 I kądziel prządła, w roli kopała,
 Prawość i cnotę w syna wszczepiła.
 Choć jeszcze wiarę pogańską miała.
 Ciebie Bóg stworzył w prawdzie Kościoła
 I karmi prawdą tą życie całe,
 Pamiętaj, gdy cię na sąd powoła,
 Złóż Mu je czyste na Jego chwałę!

Malwina J.

Za późno.

Marta młynarka wstąpiła raz z rozdartym butem do Walentego, młodego szewca, aby jej zszyl go na poczekaniu. Była ona wdową, ale że żyła rok tylko z mężem, nie wyglądała na wdowę, a co do urody, to drugiej takiej we wsi nie było. Smukła jak topola, miała żywe na licach rumieńce, a czarne oczy błyszczały jej jak dwie gwiazdeczki.

Walenty but rozdarty w mig jej sprawił, ofiarowanej zapłaty nie przyjął, a za to, z młodzieńczej pustoty, chciał ją na pożegnanie serdecznie uściśnąć. Ale spodkał go zawód; Marta była dzika i nieprzystępna. Odepchnęła go silnie i śmiejąc się, wybiegła z warsztatu.

Walenty zawołał za nią: — Nie, to nie! Obejdzie się! — Ale hardość ładnej młynarki, tak go ujęła, że przez kilka dni ciągle tylko o niej myślał. Wreszcie, taka zdjęła go tęsknota, że pod jakimś zmyślonym pozorem, poszedł do młyna. Posiedział chwilę, pożartował, spróbował zalecać się, — ale odszedł z niczem, jak i przyszedł. Od tego czasu jednak, coraz częściej zachodził do młyna, bo młoda wdowa przypadła mu bardzo do serca. Ile razy wracał z młyna, mówił do siebie:

— Taka, to w sam raz na żonę dla mnie!
 Pewnego dnia, zagadnął ją wprost:

— Słuchajcie, Marto, coś wam powiem udaliście mi się bardzo ... Pobierzmy się

Marta wiedziała, że on nie żartuje, więc też wprost odrzekła:

— I wyście mi się udali i poszłabym za was, jeno się boję, bo niespokojny z was człowiek. Za często lubicie zaglądać do kieliszka i zanadto wam do smaku wesóło kompania A ja widzieć, chcę męża dla siebie i domu, a nie dla kogoś tam!

Walenty, że był prędki w słowie, obiecał jej, iż odtąd tylko dla niej jednej żyć i pracować będzie. I stało się na tem, że po świętach wielkanocnych pobiorą się Zmienił się też zupełnie odrazu, pracował gorliwie przez cały dzień, nie zaglądając do karczmy, wieczorem zaś szedł do młyna gdzie długo w towarzystwie młynarki przebywał. Tak trwało cały tydzień. Gdy jednak nadeszła sobota, stawał się nagle, jakby innym człowiekiem. Zamiast do młyna, biegł wieczorem do karczmy, gdzie go już kieliszkowski towarzysze czekał. Innych złych nawyczek pozbył się, tej jednej nie potrafił. —

Tak było pierwszej soboty, drugiej, trzeciej i następnych. Każdego poniedziałku jednak, gdy po pijatce wytrzeźwiał, powracał do roboty, a wieczorem spieszył do młyna. Były tam gniewy, sprzeczki, lecz gdy młody szewc na klęczkach przeproszał Martę i zaklinał się, że zgrzeszył po raz ostatni, młynarka, choć surowa, dawała się dotąd zawsze przebłagać i wracała zgoda i wesółość — aż do następnej soboty, w której znów się to samo powtarzało.

Wszystko jednak ma swój koniec. Kiedy ostatniego poniedziałku powrócił do młyna skruszony i poprawę obiecujący, nie poznał Marty. Na wszystkie jego przemowy i tłumaczenia nie odezwała się do niego ani słowem. Udawała nawet, że go wcale nie spostrzegła. Odszedł więc i powrócił nazajutrz. Lecz nazajutrz i na trzeci dzień powtórzyło się to samo. Wówczas odezwała się w nim przekora.

— Nie, to nie! — rzekł do młynarki przez zaciśnięte zęby. — Nie chcesz ty mnie znać, to i ja ciebie więcej nie znam. Obejdzie się!

I w złości ją pożegnał. Było mu teraz wszystko jedno.

— Niech świat przepadnie zemną razem, dosyć mi już tego! — powtórzał sobie raz, po raz. — Czy to ja jej pies, abym jej słuchał? Czy to ona tylko jedna na świecie?

Zaciął się i postanowił nie zbliżyć się do niej więcej, nie wrócić do niej, a nawet wybrać się ze wsi, ażeby jej już nigdy nie widzieć. W dwa dni posprzedawał niepotrzebne sprzęty, zabrał trochę bielizny i narzędzi w tobołek i oto puścił się już w świat, przed siebie.

— Niech ona wie, że ja nie jest jej pies i że wolno mi robić, co mi się żywnie podoba.

A jednak tak mu czegoś trudno odejść, tak zupełnie, raz na zawsze.

— Et! nie to! Trzeba iść! Czas.

Wstał, przeciągnął się, zeszedł z pod figury na gościniec i wolnym krokiem podążył naprzód. Lecz po pewnym czasie przystanął i obejrzał się. Tam, w dole, na prawo migotało wciąż czerwone światelko, czasem przygasając, to znowu rozpalając się jaśniej, jakby mrugając na niego.

— Ciekawym też, co ona robi tak długo w noc? — mruknął.

I zatrzymał się znowu.

— Co mi tam zresztą do tego! — dodał zaraz.

Szedł dalej.

Po chwili stanął jednak znowu i znowu się obejrzał. To czerwone światło nęciło go ku sobie jakoś dziwnie a nieprzeparcie. Zapatrzył się w nie, aż go oczy z tego boleć poczęły i zasły łzami. Uczuł też naraz jakiś szum w głowie i wielką dnszność w piersiach.

Szedł na przelaj przez pola, potykając się czasem w ciemnościach.

Noc to była niewidna, oranina, pod nogami topniejących śniegów wiosennych rozmięкла, a on sam... niezupełnie trzeźwy.

Przed chwilą zaledwie opuścił karczemną izbę. Wyszli za nim ztamtąd aż przed próg wszyscy znajomi i kompani dobrzy, z którymi niejedną wieczór spędził przy kwaterce. Wyszedł kowal Grzela i gospodarz pan Wasiewski i Chlanda gajowy i sam karczmarz nawet, a wszyscy oni ściskali go za ręce i żegnali i całowali z wielkiem rozczuleniem. I jemu samemu kliwo było bardzo na sercu, bo oto odchodzi od nich na zawsze, porzucał ich, aby więcej już nie wrócić.

W ostatniej chwili chcieli go jeszcze zatrzymać.

— Ot, zostańcie z nami, panie Walenty — mówił kowal Grzela. — Czy to wam tu źle? W miasteczku i bez was dużo takich, co kunszt szewski prowadzą, a tu na dwie mile wokoło, wy jeden tylko szewc, więc i honor jest i o zarobek łatwo. Zostańcie!

Ale on nie dał się zatrzymać.

— Trudno, stało się. Co ma być, niech i będzie. Mnie tu z wami nie żyć więcej. Bywajcie zdrowi!

— Uparł się przy swoim, jako też zawsze bywał zawzięty, wyrwał się gwałtem z ramion kompanów, pokłonił się im czapką, poprawił tobolek na plecach i ruszył.

Dognał go Chlanda, gajowy.

— Hej Walek! — rzekł — jakżeż ty możesz ztąd odchodzić! Cóż będzie z nią?

— Niby z kim?

— A z Martą, młynarką... Toć mieliście się pobrać po świętach?

— A niedoczekanie jej! — zaklął Walenty i zaciśniętą ręką pogroził przed siebie.

Chlanda patrzył na niego milcząco.

— Szkoda o tem mówić! — dodał po chwili Walenty łagodniej. —

Szkoda mówić... Bywaj zdrów, kamracie!

Jeszcze raz zdjął czapkę i zatoczywszy się nieco, począł iść żwawo, jakby chcąc uciec ze wsi co rychlej... Uszedł kilka staj, a ogarnęły go zewsząd nocne mroki i chłód przesyconego wilgocią powietrza. Zrobiło mu się jakoś smutno w duszy, ale zarazem uczuł także jakby gniew do Chlandy, że przypominał mu o tej...

— Niech ją tam!... Toż przez nią tylko uciekam ze wsi.

Ażeby ukrócić sobie drogi, nie poszedł dalej gościńcem, lecz wprost przez pola, pod górę, ku lasowi. Tam dopiero, tuż obok kamiennej figury, zejdzcie znowu na gościńiec i pójdzie już nim prosto, prosto przed siebie. Zanim zaświta, musi stanąć aż hen, w trzeciej wsi, u przydrożnej karczemki. Ztamtąd już łatwo o sposobność do miasteczka.

Szedł i potykał się czasem. Cicho było dokoła... Tylko w bródach szumiały wody, zbiegające w dolinę i z doliny dolatywał niewyraźny huk wezbranej rzeki i słaby klekot młyńskiego koła.

Zanim dotarł do połowy wzgórza, chłop choć młody i silny, zmęczył się i zasapał. Maciło się też mu w głowie od wychylonych półkwatek.... Rozpiął więc kaptę, odkrył głowę i włosy z czoła zgarnął.

— Byle tylko do figury, dalej już fraszka!

Szedł znowu, potykał się, grzązał w błotnej roli, wreszcie po dobrej godzinie dotarł do szczytu... Był u figury. Tu zatrzymał się i odetchnął głęboko.

— Uf! Zmachałem się na nic... No, nie szkodzi... Odpocznę krzynekę i pójdę...

Przeżegnał się przed figurą nabożnie, a potem usiadł na jej kamiennem podmurowaniu; twarzą był teraz zwrócony ku wsi, którą porzucił.

Daleko, w dole, migotały przed nim słabe światełka, niby gwiazdy, po ziemi rozsiane. Rozpoznawał z tych światełek, niekóre. Ot, to wielkie na lewo, to na plebanii, u dobrodzieja... To żółte w pośrodku, to w karczmie, tam Chlanda i Grzela i gospodarz siedzą zapewne jeszcze za stołem i rozmawiają o nim. Po za żółtem w głębi, małe i niepewne, to u kowala; tuż obok jego domu miał on warsztat do niedawna... To wreszcie czerwone światełko, zdala od innych, to w młynie...

— Świeci się jeszcze u niej!...

Nad tem ostatniem światełkiem, choć nie chciał, zatrzymał Walenty swój wzrok najdłużej, im dłużej zaś patrzył, tem dziwniej mu było, że teraz, po nocy, znajduje się sam jeden za wsią, że ucieka stąd na zawsze, ażeby już nie wrócić.

I jakżeż to przyszło do tego?

Przypomniało mu się wszystko od czasu, jak poznał tę tam... młynarkę.

— Taka ona, taka ona, — zaczął wreszcie mówić do siebie, na poły z gniewem, na poły żałością — taka nieludzka, sroga — a jednak tak coś ciągnie do niej... Niech ją tam! — przecież ja do niej nie wrócę!

Chciał puścić się dalej, lecz nie mógł; wydawało mu się, że jest pijany, albo też, że przyrośł do ziemi. Spróbował podnieść się, nie potrafił, a oczy, jakby mu kto przywiązał do owego światełka.

Wreszcie uczuł zawrót w głowie i poznał, że traci zmysły. Uczyniwszy ostatnie wysilenie, krzyknął dwukrotnie w stronę młyna, potem jęknął głucho, pochylił się naprzód i zaczął się staczać nieprzytomny ze wzgórza....

W młynie, w obszernej izbie, siedzi za stołem młynareczka i dziwnie jakoś patrzy przed siebie. Przed nią na stole leży otwarta książka do nabożeństwa, bo modliła się jak zwykle, przed udaniem się na spoczynek. Lecz dziś sen nie przychodzi jej na oczy. Czeladź już śpi dawno, a ona słucha tylko szumu wezbranej rzeki i jednostajnego turkotu koła. Czegoś jej straszno dzisiaj, czuje że sama, nikogo przy niej uie ma.

A jednak byłby on przy niej gdyby nie jego nałóg i nie jej hardość... Niech wie przecie, że ona mu nie ustąpi...

Jednakże, gdyby teraz jeszcze wrócił, kto wie, czyby mu nie przebaczyła. — Ale on już nie wróci — zanadto uporny!...

W tem, myśli jej przerwał jakiś odgłos z dala idący. Drgnęła i wychyliła głowę przez okno. Zdawało jej się, że jakiś głos, dobrze znany, wołał ją po imieniu....

Zaparała dech, nadsłuchując...

Za chwilę znowu się jej wydało, że słyszy ten sam głos, ale bliższy i wyraźniejszy...

Porwała się ze stołka i podbiegła do okna. Przytuliła twarz do szyby i czekała czas jakiś. Wreszcie otworzyła okno i wychyliła się na zewnątrz..

Nic. Pusto dokoła, żadnego ludzkiego głosu nie słychać. Woda tylko szumi i wzbiera, a wzbiera....

Z pospiechem zawarła okno i wróciła na dawne miejsce przy stole. Wzięła książeczkę i usiłowała się modlić. Ale daremno!

Dziwnie jej jakoś było tego wieczora i nie swojsko, jak jeszcze nigdy przed tem.

Gajowy Chlanda i kowal Grzela, rozwodząc się nad przymiotami szewca Walentego, zasiedzieli się zbyt długo przy kieliszku i zaglądali dość zbyt głęboko, ażeby potem mogli byli ważyć się na bezzwłoczny powrót do domu, wśród nocy, na niepewnych nogach, przez rowy i opłotki, a zwłaszcza przez kładkę w okółko młyna, przez którą im jednak obu przechodzić wypadało.

Poradzili też sobie, jak umieli i podścieliwszy sukmany, przespalili się doskonale: jeden na ławie, a drugi na stole karczemnym...

Zaledwie jednak świt zabłysnął, porwali się obaj i z pospiechem wyszli przed karczmę, a potem na drogę wiodącą ich do domu.

— Zawsze to będzie przykładniej — zauważył przytem Grzela filozof, — gdy słonko Boże na nas w domu czekać będzie!

— A jużci — powtórzył Chlanda, ale podrapał się w głowę, pomyślawszy, że oprócz słonka czeka nań w domu i żona, która kto wie, czy będzie rada z tak „wczesnego“ powrotu!

W skutek tego przypomnienia może, Chlanda zasepił się strasznie i w milczeniu doszli obaj z Grzelą do młyna.

Tutaj jednak musieli się zatrzymać. Kładki na rzecze widać nie było z pod wody; wszędzie zaś naokoło, gdzie wczoraj puste jeszcze leżało błonie, kołysały się fale brudne, mętne, spienione, na płytszych tylko miejscach różniące się lekko od wschodzącego właśnie słonca. Młyn wyglądał jak skała stercząca wśród jeziora, a grobla do niego wiodąca była jedynym wolnem jeszcze od zalewu pasmem ziemi.

— O rety! — zaklął Grzela — to ci przez noc wezbrała! Bez mała i młyn zabierze! Jakżeż my się teraz na drugi bok przeprawimy?

Chwilę stali bezradni, w tem przypomniał sobie Chlanda, że przy młynie tuż u stawideł, widział uwiązaną łódkę.

— W niej się przeprawimy, ot i tyle!

Poszli więc przez groblę, ku młynowi, lecz nagle, Chlanda krzyknął, szarpiąc za rękaw towarzysza:

— Grzela, patrz..... ot, tam, na prawo!

Grzela spojrział i zobaczył tuż obok parę nóg wystających z wody i zaczepionych o związanie mostu. Reszta ciała, popychana falą ku dołowi, znikła na chwilę pod pianą, a ukazując się znów na wierzchu, podnosiła się jak żywa i tłukąc o ścianę młyna, zdawała się domagać wejścia....

— Jezus! — zawołał Chlanda — ktoś utonął!...

— Jezus! — powtórzył Grzela, przypatrując się, gdy ciało znów się na wierzchu ukazało — ta kapota — ten tobolek.... tożto Walenty!

Były to rzeczywiście zwłoki butnego szewca, który wczoraj jeszcze wbrał się z wioski aby już do niej nie wrócić, — i choć wrócił do niej, to już martwy.

Gdyby nie był tak zacięty, a Marta gdyby więcej była wyrozumiała i cierpliwa, nie byliby sobie złamali szczęścia na tej ziemi, którą im się uśmiechało!



Za jałmużnę.

Jeśli kiedy sierota stanie ci u proga
I wynędziała rękę wyciągnie po datek,
Pomnij, że jest to posel od dobrego Boga,
Któremu miłosierdzia masz z płacić podatek.

To co dzisiaj z współczuciem udzielisz sierocie,
Kojąc serca tęsknotę i nędzy żałości,
Zmieni się kiedyś w niebie na setki i krocie,
Którymi Pan szafuje w nagrodę litości.

O znaku krzyża przy śmierci.

Człowiek przez cały żywot swój, jest męczennikiem wśród wojny i męczennikiem wśród pokoju. A czemuż jest przy śmierci? Czyż także nie męczennikiem! Oto złożony chorobą, opuszczony od świata, widzi się otoczony tylko rodziną i przyjaciółmi, którzy mu nie pomódz nie mogą. Poza sobą widzi tylko przeszłość, która mu się z pod stóp usuwa; przed sobą, wieczność, która nadchodzi i która ma go pochłonać bezpowrotnie, a żadna siła ludzka nie jest w mocy opóźnić, tej jego podróży do innego świata, ani osłodzić jej okropności.

Ten chory, umierający, — to obraz każdego człowieka. Ja co to piszę i ty, co to czytasz, będziemy kiedyś w jego położeniu; nie minie to ubogiego ani bogacza, sługi ani króla! Jeśli więc wśród walk żywota potrzebujemy niebieskiego światła, siły pociechy i pocieszenia, potrzeba nam ich stokroć więcej w stanowczej chwili śmierci. Otóż znak krzyża jest tą pomocą. Był on drogim dla naszych ojców, jakże więc i dla nas drogim być powinien!

Męczennicy niegdyś za wiarę na śmierć skazani idąc na stracenie, nie zapomnieli nigdy uzbroić się znakiem krzyża. Jużemy wspominali, iż chrześcianie pierwszych wieków znak ten mieli w czei i w ciągłym użyciu, aby złądzić boleści męki i uświęcić śmierć swoją. Podamy jeszcze kilka przykładów:

Święty Grzegorz mówiąc o swej ukochanej siostrze świętej Makrynie, której towarzyszył w ostatnich chwilach życia, powiada o niej, iż miała ona zwyczaj powtarzać: — „Panie, tyś dał tym, co ci się boją, ten znak swój święty, aby mieli opiekę w życiu i mogli nieprzyjaciela zmusić do ucieczki.“ Mówiąc te słowa, święta Makryna kłada to znamie cudowne na oczach, ustach i sercu. — Brat jej, święty Grzegorz Nazyanzeński, uprzedzając szatana, tak mówił do niego:

— „Jeśli poważysz się napastować mnie w chwili śmierci, strzeż się, bo gdy znak krzyża uczynię, będziesz musiał haniebnie uciekać.“ —

Pierwsi chrześcianie zamiast czynić przy śmierci znak krzyża ręką, czynili go przez rozłożenie rąk. Zwali oni to ofiarą wieczorną. W takiej to postaci święty Antoni znalazł świętego Pawła pustelnika. Tak samo

umarł święty Ambroży, który kilka ostatnich godzin życia konał z rozkrzyżowanymi rękoma. Święty Eutychiusz, biskup medyolański, dotknięty dreszczem śmiertelnym, przetrwał siedm dni ostatnich na modlitwie, krzepiąc się bez ustanku znakiem krzyża. Z świątobliwych królów francuskich, o kilku mówi podanie, iż czując śmierć bliską, cześć oddali temu znakowi: Karol Wielki wyciągnął osłabioną rękę, i o ile zdołał to uczynić, zrobił nią znak krzyża na czole i piersi. Syn zaś jego, Ludwik Pobożny, czując skon niedaleki, kazał, by przy nim odmawiano nocne modlitwy, położywszy mu na piersiach relikwię świętego krzyża. Przez ten czas, o ile siły mu dozwoliły, czynił także krzyżyki na czole i sercu, a gdy się tem zmęczył, prosił aby mu czynił to brat jego. Król Robert, jeden z jego następców, umierając, wzywał wszystkich świętych na pomoc i kładł krzyżyki na przyrządach pięciu zmysłów. Ludwik zwany grubym, gdy przeczuwał koniec życia, rozkazał rozłożyć na ziemi kobierzec, a na nim posypać popiół w kształcie krzyża. Gdy go położono na tem łóżku, przypominającym ostatnie łoże kalwaryjskie, dobry ten król znaczył na sobie krzyżyki aż do skonu.

Święty Zenobiusz, przyjaciel św. Ambrożego, podobnie umierał. Gdy św. Paula miała konać, córka jej nieustannie kładła znaki krzyża na ustach i piersi swej matki, starając się osłodzić jej ostatnie cierpienia tą zbawczą pieczęcią.

Widzimy więc, iż przy życiu i śmierci, znak krzyża był u przodków naszych, w nieustannem użyciu, jako źródło światła, siły, poddania, odwagi i nadziei. Jakże wielką jest jego waga i skuteczność! Miejmy to na pamięci, gdy życie nasze będzie już na schyłku!

Listy od Czytelniczek „Niewiasty“.

Szanowna Pani Pustelnik! Cieszy mię to, że jedna ze współczelniczek odezwała się znów w naszej „Niewieście“ bo do tego czasu zaledwie trzy, lub cztery, się takich znalazło, które coś napisały; ale to tak dłużej nie może być; powinnyśmy wynagrodzić nasze milczenie i jak która umie, tak się rozpisać, o różnych rzeczach, które nas zajmują, bo to już taka nasza niewieścia natura, że jak się nie wygadamy, to nam gorzko w ustach. I tak jest nie tylko u nas w Polsce, ale na całym świecie. Naprzykład tu w Siedmiogrodzie, gdzie mieszkam, byłam raz świadkiem, jak dwie madziarki, wyszedłszy do studni z cebrażkami na głowie (bo tu tak noszą), ponieważ to była pierwsza godzina i widziały, że mają przed sobą dość czasu, zaczęły rozmowę i to w ten sposób, że nim jedna swoje skończyła, to druga zaczynała i pomimo, że cebrażki na głowie trzymały, jednak rozmowy dokończyć nie mogły dopiero rozpędził je odgłos trąby fabrycznej, który oznaczał koniec dziennej roboty o 6-tej godzinie, a żadna z nich do tego czasu nie pomyślała o wieczery dla męża, która miała być już na 6 stą gotową.

Owóż na wzór tych dwu niewiast, którym pewnie lżej było po wygadaniu się, spróbujmy także wypowiedzieć, co na sercu nam leży, a taka wymiana listów w „Niewieście“, będzie jakby rozmową między siostrami, które widzieć się z sobą nie mogą, ale choć setkami mil oddalone, porozumiewać się z sobą będą mogły.

Bogu Was oddaję kochane siostry i wzywam do wspólnej rozmowy.
Lupeny — w Siedmiogrodzie.

Rozalia Ciko.

Złote ziarnka.

Za czczym honorem niech goni pycha,
A skarbów, złota, niech cheiwość strzeże;
Rozkoszą niechaj żądza oddycha...
Lecz nie w tem szczęście, — wierzaj mi szczerze.

Jeżeli szukasz dobra trwałego,
Znajdziesz je tylko w życia mierności,
We wspomaganiu brata swojego,
I w niestrudzonej bliźnich miłości.

Dziesięć przykazań dla młodych żon.

1. Unikaj pierwszej sprzeczki z mężem, ale jeżeli on ją rozpoczął, a ty się czujesz niewinna, nie przerywaj jej, ale staraj się, tak go przekonać, aby uczuł że masz słuszość i poznał jak przykrą jest kłótnia.
2. Pamiętaj, żeś pojęła za męża, człowieka, nie anioła; przeto nie dziw się jego wadom i ułomnościom.
3. Nie napastatuj go częstemi prośbami o pieniądze. Bacz na to, aby ci wystarczyła ta suma, jaką on przeznaczył na domowe potrzeby.
4. Choć ci się zdaje, że twój mąż nie ma serca, to nie prawda; czasem tylko jego żołądek jest w nieporządku; a ty najlepiej postąpisz, jeżeli będziesz się starała przyrządzać mu zdrowe pożywienie.
5. Pozostawiaj mężowi ostatnie słowo. Jeśli nie zawsze, to od czasu do czasu.
6. W gazetach nie tylko czytaj o fraszkach i drobnostkach ale również i o poważnych rzeczach, abys mogła pomówić z mężem o sprawach, które go zajmują.
7. Bądź zawsze serdeczną względem niego. Pamiętaj, że gdy był twym narzeczonym, patrzyłaś na niego z miłością i poważaniem; nie pragnijże i teraz go lekceważyć.
8. Daj mu poznać, w tem, lub owem, że jest mądrzejszym od ciebie; będzie mu to przyjemnem.
9. Bądź mu pomocniczką, jeśli jest człowiekiem rozumnym, a staraj się podnieść go ku sobie, jeśli jest ograniczonym.
10. Poważaj rodziców jego, a zwłaszcza jego matkę, która w pierw jeszcze go ukochała, niżeli ty.

Gospodarstwo.

Niemłócony owies, jest według zdania wielu gospodarzy, daleko lepszą karmą dla koni, niż sam owies w ziarnie jako obrok i słoma do niego należąca jako pasza, osobno koniom podawane.

Również bardzo dobrą karmą jest siczka ze siana, pomieszana z owsem i zwilżoną wodą, daleko jednak rzeczą prostszą, wygodniejszą i tańszą jest karmienie koni niemłóconym owsem. Karma taka jest naprzód dla tego korzystniejszą, ponieważ koń zjada ziarno razem z wielką częścią słomy, co mu

się ma dobrze do trawienia przyczyniać, a po drugie, oszczędzoną zostaje młocka. Owies jednakże trzeba rżnąć wcześniej nim zupełnie dojrzeje, a to dla tego, aby się przy żłobie nie wysypywał. Karma ta ma być bardzo polecenia godną przez zimę i konie mają z niej znakomicie wyglądać.

Rozrzucanie nawozu na śnieg nie jest środkiem polecenia godnym, szczególnie na nierównym pochyłym, falistym, a do tego zmarzniętym gruncie, a to z bardzo prostego powodu. Gdy tylko nastają odwilże i roztopnieje śnieg, to ten zabiera ze sobą wiele rozpuszczalnych części nawozu, które prawie bezpowrotnie dla roli giną.

Dla tego powinniśmy się starać o wywożenie nawozu w czasie, w którym rola nie jest zamarzniętą, ani pokrytą śniegiem.

Leczenie stłuczonych lub zranionych nóg u koni i bydła. Przy nadwyrężeniu członków bydłęcia, dotąd używane powszechnie okładów z zimnej wody, nawet z lodem mieszanej. Daleko skuteczniejszym jest trzymanie stopy, lub całej nogi zwierzęcej wogrzaney, w letniej wodzie przez całą godzinę, jeśli można. Przy tem jednak, bolące i spuchłe miejsce trzeba mocno obwiązać podłużnym kawałkiem płótna, zmoczonym w mięszaninie, która się robi z równej ilości wody, płynu zwanego Arnika, oraz terpentynowej żywicznej tynktury (te dwie rzeczy kupić trzeba w aptece). Gdy płótno na nodze wyschnie, trzeba je zaraz w tejże samej mięszaninie namoczyć. Tak leczone zwierzęta, zwłaszcza konie, mogą już w parę dni potem iść w drogę, jako wyleczone.

Wszy u bydła wygubić można, jeśli się zwierzęta natrze rzepakowym olejem. Na drugi dzień zaraz rano, musi być zwierzę starannie wyczesane, a potem obmyte mydlinami z szerego mydła. Dobrze jest także, przeciw wszom, czyścić bydłę szczotką zmoczoną w oleju lnianym. — Trzecim sposobem jest nacieranie mięszaniną zrobioną z gotowanego tytoniu, prostej wódki i mydlanej wody. Tą samą mięszaniną dobrze też jest skrapiać ziemię, ściany i żłoby w stajni, aby przeciw robactwu się zabezpieczyć.

Przeciw zarazie bydła dobrym jest środkiem woda żelazna, którą się do wody do picia dolewa. W tym celu dodaje się do wody do picia dla bydła, nieco witryolu żelaza. (tyle, ile wejdzie na koniec noża).



RADY DOMOWE.



Bielizna pierze się dobrze, bez tarcia, w ten sposób: Na dzień przed praniem gotuje się funt mydła szarego w 2 litrach wody. Tym roztworem wychłodzonym nieco, zwilża się rozłożoną na stole bieliznę, poczem zwija się ją mocno, wkłada się w wannę i polewa gorącą wodą, w której rozpuszczono trochę sody. — Tak zostawia się przez noc. Nazajutrz stawia się kocioł z zimną wodą na ogień — i gotuje się bieliznę 20—25 minut mieszając kopystką. Na mniejszym ogniu stawia się drugi kocioł z wodą zawierającą mydło i sodę. Gdy się zagotuje, daje się bieliznę na 20—30 minut do drugiego kotła, skąd powinno się zupełnie czystą wyjąć. Głoby jeszcze pozostały gdzie płamy, natrzeć je roztworem szarego mydła i gotować na nowo w roztworze, jak wyżej.

Bielizna łatwo i prędko się pierze, gdy rozpuścimy 2 funty mydła w 13 litrach wody, dodamy łyżkę terpentyny i 2 amoniaku. W tym rozczyźnie moczyć trzeba bieliznę 2 do 3 godzin.

Te ułatwione sposoby prania zaoszczędzają wiele pracy i czasu.

Jeżeli np. płótnianka zasmaruje się mazią, trzeba przed praniem, płamę namoczyć terpentyną, a plama zejdzie. Jeśli niema terpentyny, dobrze też jest użyć mleka i płamę trzymać w niem tak długo, dopóki nie zejdzie. Plamy z żywicy tylko o terpentyną dadzą się wywabić.

Gdy po wypraniu jest co do krochmalenia, to najłatwiej przyjdzie użyć krochmalu, czyli skrobiu, w domu sporządzonego z dzikich kasztanów, lub ziemniaków. Aby skrob taki zrobić, trze się na tarce kasztany lub ziemniaki na misie, zlewa się zimną wodą i nalewa świeżą, aż w końcu sam tylko krochmal na dnie zostanie. Jest on biały i gęsty. —

Do wyrobu płótna najważniejszą jest rzecz mieć dobre, mocne nici. Płótno bielić należy na słońcu jedynie przez polewanie wodą. Zle jest, gdy ktoś słuchając niemądrej rady, domowe szare płótno chce odrazu wybielić jakimś sztucznym środkiem, a mianowicie, przez dodanie chlorku do wody, którą płótno się polewa. Chlorek bowiem gryzie i niszczy nici i takie płótno staje się kruche i rychło się drze potem.

Bielenie nici. Po zdjęciu z motowidła namoczyć w letнім ługu na 24 godzin, potem w ługu kilkanaście razy przeprać, prażyć na gorącym trzonie, nie dopuszczając zagotowania i znowu prać, potem namydlić, zamoczyć w letniej wodzie i prażyć jak poprzednio.

Wywabianie plam z bielizny, ze zleżenia powstałych robi się w ten sposób. Do litra deszczówki dodaje się jedną garść soli kuchennej i 5 gramów salmiaku, potem tą mieszaniną gotuje się przez pół godziny, a następnie zwilża się tą cieczą plamy i suszy na słońcu. Jeżeli plamy nie znikną za pierwszym razem, powtarza się tą czynność dwa razy lub więcej, dopóki się nie stracą.

Przeciw żółknięciu bielizny skutkuje następujący środek: Do niebieskiej wody, przy farbkowaniu bielizny, dolewa się 3 łyżki spirytusu i 1 łyżkę terpentyny; potem bieliznę suszy się na słońcu lub bardzo jasnym miejscu, a wybieleje.

Środek przeciw wzdęciu u krów, kilka ząbków czosnku kraje się drobno i gotuje w litrze mleka, potem mleko tak przyrządzone, wlewa się do glinianego garnka, nakrywa przykrywką i stawia w stajni, w bezpiecznym miejscu. Im dłużej mleko stoi i silniej skwaśnieje, tem jest pomocniejsze. W razie wzdęcia, daje się krowie ćwierć lub pół litra tego leku i powtarza się tak długo, aż wzdęcie ustanie. Krowie, która trudniej trawi i z tego powodu łatwo się wzdyma, można przez kilka dni z rzędu dawać ten prosty, a pomocny środek.

ROZMAITOŚCI.

Paradną dziewczyna. W Bremie (w Niemczech) przyaresztowano niedawno niejakiego Zelika Bletsteina, oskarżonego o udział w handlu dziewczętami. Ujęcie tego człowieka nastąpiło w skutek odwagi i sprytu Ludwiki Michalakówny, mieszkanki powiatu radzyńskiego, która na ostatku była kwiecniarką w jednej z pracowni warszawskich. Ludwika w miesiącu czerwcu poznała jakiegoś Schmidta, który ją namówił do wyjazdu za ocean, t. j. do

miasteczka Buenos Ayres w Ameryce, niby do objęcia dobrej posady w magazynie mód. Dziewczyna zgodziwszy się, namówiła jeszcze swą przyjaciółkę, Karolinę Osmiałowską, aby jej towarzyszyła. Obie dziewczyny, przybyły z owym Schmidtem do Bydgoszczy, gdzie przyłączył się do nich ów Żelik Bletstein, również z dwoma towarzyszami. Następnie Schmidt znikł, a Michalakówna po przybyciu do Bremy zmiarkowała dopiero, że je oszukano i mają być wywiezione i sprzedane. Ponieważ wyjazd okrętem opóźnił się, gdyż oczekiwano jeszcze przybycia kilku sztuk „żywego towaru“, Michalakówna, udała się pod opiekę jakiegoś księdza, który rozumiał trochę po polsku. Wskutek tego Bletstein został uwięziony i sprawa cała poszła pod sąd. Michalakówna i Osmiałowska dostały na razie zajęcie w Bremie, lecz wkrótce wrócić mają do kraju. Strzeżcież się dziewczęta, ponętnych namów nieznanych i niepewnych ludzi, bo to najczęściej są tylko sami niecnicy żydowscy faktorzy, którzy korzystając z waszej łatwowierności, cześć waszą i cnotę do zatury przyprowadzają!

Żłódzieje na jarmarku. Pewien gospodarz okolicy Radomska, w gubernii piotrkowskiej, sprzedał na jarmarku w mieście parę wołów drożej, niż się spodziewał. — Wiesz, matko, — mówi do żony, — kiedyśmy uchowali takie ładne bydłeta, to mogę sobie kupić kozuch, — Posłyszal to złódziej, który miał już tego gospodarza na oku, zbliża się więc co prędzej i powiada: Hej ojcze! ja także muszę sobie kupić kozuch, więc chodźmy razem. — Poszli we troje do kozusznika i zaczęli kozuchy oglądać. Żłódziej wybrał jeden i mówi: Przymierzcie ojcze, w tym będzie wam do twarzy. Gospodarz zdjął sukmanę, a wdział kerczuch. Żłódziej mu pomagał, pozapinał kozuch mocno na guziki, a z boku spoglądał na sukmanę leżącą na krzeselku, bo wiedział, że tam były pieniądze, które gospodarz wziął za woły. Nagle obróciwszy gospodarza plecami do krzeselka, porywa sukmanę i myk za drzwi! Gospodarz obejrzawszy się, dalejże za nim w pogoń! A kozusznik za gospodarzem, i krzyczy: Trzymajcie złódzieja! Ukradł mi kozuch! — Zatrzymano gospodarza, zdarto z niego kozuch i odprowadzono do kozy jako złódzieja, a prawdziwy złódziej poszedł sobie w świat z pieniędzmi i sukmaną. — Wkrótce potem zdarzył się znów w Radomsku na jarmarku drugi podobny wypadek. Jedna kobieta siedząc na furze, liczyła pieniądze otrzymane ze sprzedarzy krowy i prosiat. — Bogu dzięki, jest co do grosza 40 rubelków! — Związała pieniądze w szmatkę i chowa w zanadrze. Wtem zbliża się jakiś „panek“ i mówi: — Ratujcie matko! wpadł mi w oko jakiś proch i okrutnie mi dolega. Może uda się wam go wyjąć. — Kobieta z początku się bała, ale „panek“ obiecał dać za fatygę 20 kopiejek, więc zaczęła mu oglądać oko. Lecz zanim cokolwiek w niem znalazła, złódziej wpierw zdążył wyciągnąć jej szmatę z pieniędzmi. — Wiecie, zawołał — nie mnie już nie boli. Dobra z was kobieta, że się tak litujecie nad cierpiącymi. — Dał jej czterdziestkę i poszedł. Kobieta ucieszona niespodziewanym zarobkiem, wyglądała z niecierpliwością męża, który jeszcze coś kupował. Gdy nadszedł, zaraz się przed nim pochwaliła. Ale chłopca, jakby coś tknęło. — A gdzie masz pieniądze? — pyta. Baba sięga w zanadrze, a tu ani szmaty, ani pieniędzy. Wtedy dopiero nieboga poznała, jaką i komu wyświadczyła usługę!

Nieszczęśliwa księżniczka. W Sycylii wyszedł na jaw w tych dniach dramat, któregooby się nie powstydzila najbujniejsza fantazyja powieściopisarska. Osia tego dramatu jest księżniczka Carini, rozwiedziona od piętnastu lat z mę-

żem swoim markizem Collato. Księżniczka po rozwodzie żyła w nędzy, nie ona jednak zatruwała jej życie. Jej jedynaczka przysłała na świat ślepą. Ma ona obecnie już lat dwadzieścia, a nie odczuwa cierpienia ślepoty, bo matka, czuwając nad swą córeczką z bojaźliwą troskliwością, umiała w nią wmówić, że wszyscy ludzie są ślepi. Córka księżniczki Carini nie zna dotąd słów: światło, ciemność, barwy, spojrzenie, piękność. Temu lat pięć odziedziczyła księżniczka po jakiejś swojej bezdzietnej krewnej wielki majątek i wspaniały pałac w Palermo naprzeciwko *Piazza Alterigo Gentile*. W tym pałacu zamieszkała księżniczka pół pierwszego piętra, a drugą połowę, aby okazać swoją przychylność i zaufanie, odstąpiła swemu pełnomocnikowi Janowi Cannela, człowiekowi znanemu i posiadającemu liczną rodzinę. Temu lat cztery stała się rzecze straszna. Pewnego dnia księżniczka Carini, chcąc wyjść na miasto, zastała drzwi swoich apartamentów zamknięte. Okazało się że drzwi zamknąć kazał Cannela. Krzyki i płacze nie pomogły. Pełnomocnik zagroził jej, że jeśli nie przestanie wołać o ratunek, to ją zabije, a córce zdradzi, że jest nieszczęśliwą, bo są piękności na świecie, których ona nie widzi. Zakazał jej również pokazywać się przez okno, lub dawać o sobie jakikolwiek znak życia osobom mieszkającym po za pałacem, a wszystko to uczynił w tym celu, aby wymusiwszy od niej najkompletniejsze pełnomocnictwo, móżdż majątek jej zupełnie dla siebie zagarnąć, Cannela w dokonaniu tej zbrodni miał współników w żonie i sługach pałacu, których albo przekupił, albo zteroryzował. Gdy się kto pytał o księżniczkę powiadał portyer: „Księżniczka wyjechała na kilka dni, nie pozostawiając adresu.” Tak minęły cztery lata, w których Cannela znęcał się nad księżniczką, dając jej głód cierpieć i znęcając się nad nią groźbą, że córce wyjawia straszną tajemnicę jej ślepoty. Cannela do tego stopnia był chciwym, że sprzedał nawet urządzenie pomieszkania, w którym ją uwięził. Pokój w którym była zamknięta, miał nagie ściany i pryczę. Sam Cannela przynosił jej również skromne pożywienie. Niechęć jednego ze służby do okrutnika wyjawiała całą sprawę wobec adwokata w Palermo, dra Maltezo, który natychmiast zawiadomił władzę o tej niesłychanej zbrodni. Policja otoczyła nagle pałac, wkroczyła do jego wnętrza i uwolniła dwie kobiety, których radość graniczyła z szaleństwem. Cannellę aresztowano w sądzie, gdzie załatwiał jakąś sprawę nie wiedząc o tem, że jego zbrodnia wyszła na jaw. Aresztowano również jego żonę i całą służbę pałacową. Sprawa ta wywołała w Palermo usprawiedliwioną sensację.

Z pod Gliwic. Tych dni zaszedł we wsi okolicznej następujący wypadek. O rękę pewnej dziewczyny ubiegało się równocześnie dwóch młodzieńców i długo nie można było powiedzieć, kto ostatecznie z nich zwycięży, Franek czy Michał. Wreszcie dziewczyna postanowiła wyjść za pierwszego. Dano więc na zapowiedzi w urzędzie stanu cywilnego i w kościele i tego poniedziałku miał już być ślub. W oznaczonej na to godzinie zjawili się dziwnym sposobem znowu równocześnie ci obaj współzawodnicy i wtedy Franek tak zaczął dogadywać młodej panie i rodzicom, że w końcu młoda panna odmyśliła się i postanowiła wyjść za Michała. Ślub więc odroczone, dano ponownie na zapowiedzi i za trzy tygodnie odbędzie się ślub z Michałem — jeżeli się dziewczyna naturalnie nie namysli znowu inaczej.

Szczególny podarunek otrzymała niedawno pod Katowicami (pod zaborem pruskim) matka jednego rekruta, wziętego w jesieni do wojska. Dano jej na poczie wielki worek nieopłacony, za który zapłacić musiała 2 marki i 70 fenigów (to jest około 1 złr. 60 ct.) Ręce jej drżały przy otwieraniu paczki, w której znalazła wreszcie strużyny czyli łupiny z ziemniaków, oraz zużyte rękawice wojskowe. Przy tem był list tej treści: „Kochana matko! Mustry już się nauczyłem, a że się sprawuję dobrze, wzięto mnie do kuchni, gdzie strużę kartofle dla całej kompanii razem z kilku kolegami. Strużyny tutaj wyrzucają, ponieważ w kompanii nie ma świń, jak u was w domu, Pomyślałem sobie, że takie strużyny się przydadzą w domu dla wieprzka, nabierałem ich więc cały worek i przesyłam do użytku. Stare rękawice już mi nie potrzebne, a że teraz zimno nastaje, więc kochanej matce się przydadzą.“

Rekrut ten dobrym widać był synem, ale lichym rachmistrzem, bo łupiny zaledwie warte były 30 ct. Jednak pocziwa matka przejęła z czułością ten dar synowski. Strużyny dała trzodzie, a rękawiczki, ponieważ były białe, posmarowała czernidłem od butów. Wziąwszy je na ręce, poszła do miasta, gdzie musiała zanieść jakiś toboł. Spociwszy się ze zmęczenia, ocierała twarz rękami w malowanych rękawicach i przysła do miasta z poczernioną twarzą. Zbiegli się na jej widok ludzie, którym musiała opowiedzieć całe zdarzenie. Było więc dość śmiechu.

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych Sióstr Czytelniczek.

Z rozpoczętym nowym rokiem, wydajemy dalszy ciąg numerów naszego pisma, które dotąd niedość regularnie pajawiać się mogło. W Bogu nadzieja iż przeszkody które krępowały wydawnictwo „Niewiasty“ usunięte będą i pismo wychodzić będzie w czasie oznaczonym i pod względem zawartych artykułów, rozwijać się będzie pomyślnie. Wy kochane Siostry, dopomóżcie temu także, pisząc listy, które mogłyby być w gazetce tej umieszczane oraz nadsyłając należną zapłatę. Przypominamy, iż abonentki, które nadesłały po 1 złr. mają opłacone 24 nra, tj. 14 z zeszłych lat, a 10 które wyjdą w bieżącym roku. Te, które złożyły po 50 ct. mają opłaconych 12 nrów, a więc prosimy, aby dalszą przedpłatę nadesłały. Wreszcie nadmieniamy abonentkom, które do tego czasu nie nadesłały (bo są i takie), że niniejszy nr. „Niewiasty“ jest ostatnim jaki im wysyłamy. Która więc z nich życzy sobie dalej pismo otrzymywać, musi się zgłosić i zaległość wyrównać.

OGŁOSZENIA.

Odnznaczona medalem państwowym z wystawy w Bielsku w r. 1890.

Pracownia brązownicza

Fr. Maryniaka w Końskiej,

(pocza Trzyniec na Śląsku)

poleca swego wyrobu kościelne lichtarze, krzyże, dzwonki ołtarzowe i wszystko co wchodzi w zakres tego rzemiosła. Przyjmuje tanio wszelkie reperacye oraz przedmioty do niklowania, srebrzenia i złocenia.

Odpowiedzialny redaktor Franciszek Krukowski. — Druk K. Studenckiego w Czacy.